

Czak kresowy 2016: Łotwa – Estonia

W dniach 26.06.-04.07.2016 roku uczestnicy zorganizowanego na wniosek Komisji Krajoznawczej ZG PTTK Czaku kresowego odwiedzili tereny dzisiejszej Łotwy i Estonii. Bezpośrednim organizatorem imprezy był Oddział PTTK „Mazowsze”.



Foto: Krzysztof Tęcza

Najbardziej męczącym okazał się pierwszy dzień. Wynikało to głównie z braku przyzwyczajenia podróżowania przez cały dzień autobusem. Później nie było tak źle. Po przejechaniu przez Litwę wjechaliśmy na teren Łotwy. Od razu spotkała nas przykra niespodzianka. Tuż po przekroczeniu granicy okazało się, że nasza droga znikła, dosłownie. Przed nami widać było tylko kurz. Okazało się, że droga ta dopiero jest w fazie budowy. Powolutku ale jednak dojechaliśmy do celu czyli miejscowości Dyneburg. Tam też wieczorem spotkaliśmy się w *Domu polskim* z przedstawicielami społeczności polskiej. Dowiedzieliśmy się jak wygląda obecnie sytuacja Polaków na Łotwie, co Polacy robią by zapewnić sobie odrobinę niezależności. Dowiedzieliśmy się także jak rodaków pozostałych tutaj po II wojnie światowej wspiera społeczeństwo polskie. Np. remont *Domu polonijnego* w Daugavpilsie był sfinansowany ze zbiórki będącej darem narodu polskiego dla rodaków i dotacji senatu Rzeczypospolitej. Podczas naszego spotkania wymieniliśmy się podarunkami a także zorganizowaliśmy krótką zabawę z tańcami i śpiewem.

Drugiego dnia naszego pobytu na Łotwie poznawaliśmy Dyneburg. Dotarliśmy do twierdzy zbudowanej na miejscu dawnego zamku krzyżackiego. Okazało się, że to król Stefan Batory wybudował nową twierdzę oraz lokował nowe miasto Dyneburg. Ciekawostką jest fakt, że w 1920 roku, na mocy porozumienia ze stroną łotewską, miasto zostało zdobyte przez wojska polskie a następnie przekazane Łotyszom przez Józefa Piłsudskiego. Z nowszych dziejów warto jest obejrzenia umieszczonej na budynku wieży ciśnień w roku 2013 przez prezydenta Bronisława Komorowskiego tablicy z okazji 150-lecia Powstania Styczniowego. Trzeba przyznać, że atak niewielkiego bo 50-osobowego oddziału powstańców pod wodzą hrabiego Leona Broel-Platera był dla Rosjan wielkim zaskoczeniem. Nie spodziewali się oni czegoś takiego. Niestety hrabia za swoje czyny został stracony.

Twierdza okazała się tak rozległa, że trzeba było poświęcić sporo czasu by zobaczyć chociaż niewielki jej fragment. Kolejnymi zwiedzanymi obiektami były cerkiew św. Borysa i Gleba, kościół ewangelicki Marcina Lutra i katolicka świątynia p. w. Niepokalanego Poczęcia NMP.



Foto: Krzysztof Tęcza

Bardzo ciekawym obiektem okazał się kościół p.w. św. Ludwika w Krasławiu. Ponieważ miasto to związane było z rodziną Platerów, nic dziwnego, że w podziemiach kościoła znajduje się mauzoleum, w którym oczekując na zmartwychwstanie spoczywają przedstawiciele tego rodu. Miejsce to jest na co dzień zamknięte i aby się tam dostać musimy poczekać aż zjawi się opiekunka z wielkim starym kluczem, którym otwiera drzwi. W podziemiach panuje chłód więc gdy tam weszliśmy z gorącego powietrza przeżyliśmy lekki szok. Warto jednak było zobaczyć to miejsce. Pochowanych jest tu bowiem wielu zacnych ludzi.

Przy ogrodzeniu kościoła zastosowano ciekawe rozwiązanie umożliwiające ochłodzenie organizmu. Umieszczono tu, przy kranie, zawieszony na łańcuszku metalowy kubek. Nie trzeba było szukać żadnego naczynia, wystarczyło go opłukać i już można było napić się zimnej wody.

Nie pozostało nam nic innego jak przejść na wzgórze w stronę pięknego pałacu. Niestety gdy już tam dotarliśmy rozpadał się deszcz. Ponieważ nie było się gdzie schować weszliśmy do umieszczonej na skrzyżowaniu alejek metalowej karocy. Była ona jednak zbyt mała by pomieścić wszystkich chętnych. Dlatego większość pobiegła dalej licząc na to, że jakoś dostaną się do autobusu. W tym momencie dostrzegliśmy, że nasz autobus właśnie podjeżdża z drugiej strony wzgórza. Kierowca znający teren zrobił nam miłą niespodziankę. Zaparkował, otworzył drzwi i, szelma jeden, uśmiechał się pod nosem.

Teraz udaliśmy się do miejscowości Aglona, najważniejszego miejsca dla katolików na Łotwie. To tutaj znajduje się „Łotewska Częstochowa” czyli bazylika Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny. W sanktuarium znajduje się cudowny wizerunek Matki Boskiej nazywanej *Przewodniczką z Kwiatem*.

Właściwie świętość tego miejsca miała początek w roku 1698 kiedy to 15 sierpnia objawiła się Annie podczas modlitwy Matka Boska trzymająca na ręku Dzieciątko Jezus. Zbiegiem okoliczności w tym samym momencie przeor dominikanów miał inne widzenie. Zobaczył on biały kościół z dwiema wieżami. Ponieważ było to, nawet jak na tamte czasy, niespotykane, postanowiono wybudować taki

właśnie kościół i umieścić w nim obraz przedstawiający widzenie Anny. Akt fundacyjny spisano w roku 1700, a na budowę nowej świątyni szlachcianka Ewa Justyna Szostowicka podarowała dominikanom 20 wsi z 90 domami i 2 folwarkami.



Foto: Krzysztof Tęcza

Pierwszy drewniany kościół jaki tu wzniesiono spłonął w roku 1766 i zaraz przystąpiono do budowy nowej barokowej świątyni, tym razem murowanej. Obok powstał klasztor, a później szkoła i seminarium duchowne. Kiedy tereny te zostały zajęte przez Rosjan zlikwidowano seminarium a klasztor przemieniono na mieszkania komunalne. Obecnie wszystko wróciło do stanu pierwotnego. Jedynym co używane było stale przez mieszkańców jak i pielgrzymów jest cudowne źródło, które mimo zamknięcia przez władze komunistyczne w latach 60-tych XX wieku znalazło sobie nowe ujście poza zastrzeżonym terenem.

Jedziemy do Ludzy – najstarszego miasta na Łotwie, wzmiankowanego po raz pierwszy w roku 1173. Znajduje się tam zamek, a właściwie to co po nim pozostało. Są to resztki murów wzniesionych z czerwonej cegły. Resztki ale jakie imponujące. Otaczają one kilkuhektarowy plac na wzgórzu nad jeziorem. Trzeba przyznać, robią wrażenie!

Ostatnią miejscowością tego dnia była Rezekne, mała miejscowość w której funkcjonuje jedna z niewielu szkół polskich działających na Łotwie. Wieczorem spotkaliśmy się z pracującymi tam nauczycielami. Są oni bardzo dumni z tego, że uczą tutaj, i z tego, że stworzyli jedną z lepiej ocenianych placówek oświatowych. Wcześniej niestety mowa polska była zakazana i wyglądało na to, że może całkowicie zaniknąć. Teraz po 23 latach funkcjonowania szkoły nie ma już takich obaw. Oczywiście władze nie pomagały specjalnie niewygodnej dla nich placówce. Na początek trzeba było zdobyć wyposażenie. Pierwsza pomoc przyszła od Szwedów, którzy ofiarowali kilka ławek, krzeseł i tablicę. Na początku było tu tylko 22 uczniów. Teraz jest ich 526. Zmieniło się także nastawienie władz do szkoły. Co prawda nie pomagają ale i nie przeszkadzają za bardzo. Dzięki temu szkoła, jeśli chodzi o wyniki nauczania, została oceniona na drugim miejscu w rankingu wszystkich szkół. To bardzo dobry wynik.

Dzisiaj państwowe polskie Gimnazjum w Rezekne posiada wiele dobrze wyposażonych sal tematycznych. Jest tutaj sala mogąca pomieścić 900 osób. Jest także małe muzeum. Najważniejsi są

jednak ludzie. Kadra nauczycielska, nie tylko posiada odpowiednie zdolności i wiedzę ale przede wszystkim wszyscy pracujący tu ludzie wkładają w swoją pracę serce. Dlatego szkoła osiąga tak dobre wyniki jeśli chodzi o nauczanie, ale także panująca tu atmosfera udziela się rodzinom dzieci tu uczęszczających. My zostaliśmy przyjęci niezwykle miło. A w ramach pomocy przekazaliśmy wiele przywiezionych upominków ale także obiad zamówiliśmy w szkolnej stołówce. Dzięki temu mogliśmy sprawdzić co jedzą dzieci. Faktycznie posiłek był wyjątkowo smaczny.



Foto: Krzysztof Tęcza

Kolejnego dnia zahaczając o miejscowości Stameriany i Aluksne dotarliśmy do Tartu znanego także jako Dorpat. Miasto to, przynajmniej dla nas Polaków, jest wyjątkowe za sprawą flagi identycznej jak nasza flaga państwowa. To król Stefan Batory nadał miastu flagę w polskich barwach narodowych. Gdy tam przybyliśmy powiewała ona dumnie na ratuszu. Zresztą oczekiwał nas tam sam mer miasta. Zaprosił całą grupę do głównej sali ratusza gdzie dowiedzieliśmy się całej historii miasta. Spotkanie

było bardzo miłe. Później mogliśmy zrobić sobie pamiątkowe zdjęcia przed ratuszem, przy ciekawej fontannie. Dowiedzieliśmy się, że jest to Fontanna Studenckiego Pocałunku.



Foto: Krzysztof Tęcza

Tartu to miasto wielu pomników, np. przedstawiającego Johana Skytte czy Kristiana Jaaka Petersona. Na wzgórzu Toemagi znajdują się ruiny katedry św. Piotra i Pawła. Ich stan zachowania jak i wielkość są imponujące. Na Uniwersytecie Dorpackim powstała najstarsza polska korporacja akademicka Konwent Polonia. Ze znanych absolwentów należy wymienić Tytusa Chałubińskiego czy Władysława Raczkiewicza.

Kolejna ciekawostka, tym razem niezwykła, czekała na nas w miejscowości Põltsamaa. To tutaj możemy spotkać ducha ale takiego nietypowego bo został on zamurowany w murze zamkowym. Niestety nie zawsze udaje się go usłyszeć. To on niestety wybiera tych, którzy mogą powiedzieć, że go spotkali.

Miejscowość Paide (Biały Kamień) to przede wszystkim ruiny zamku. To właśnie o tą warownię toczyły się wielkie boje. Najpierw zdobyły go wojska Iwana Groźnego, później wojska szwedzkie. Następnie wojska polskie pod dowództwem hetmana Jana Zamoyskiego, który wcześniej wygrał wielką bitwę prowadzoną na przedpolach zamku z liczebnie znacznie większymi wojskami szwedzkimi. Kilka lat później zwycięstwo nad Szwedami odniósł Jan Karol Chodkiewicz.

Wreszcie dotarliśmy do Tallina stolicy Estonii. Przez wieki miasto to nazywało się Rewal. Duńczycy wybudowali tu jedno z najdłuższych w średniowiecznej Europie mury obronne mające 2,5 km długości. Jeśli chodzi o nowszą historię to właśnie tutaj w 1939 roku zawinął ORP „Orzeł”. Jego załoga po internowaniu wypłynęła pod osłoną nocy i dotarła do Wielkiej Brytanii.

Pierwszym odwiedzionym miejscem był pałac prezydencki. Co prawda nie mogliśmy wejść do środka ale otoczenie pałacu było na tyle ciekawe, że warto było się tam udać. Ponoć stało się zwyczajem, że prezydent jada śniadanie ze swoimi żołnierzami. Drugim ważnym obiektem była rezydencja biskupa i nuncjusza apostolskiego w Estonii.

Tak naprawdę oglądanie starej zabudowy miasta zaczynamy od wieży obronnej nazywanej *Gruba Berta*. To tutaj znajduje się tablica pamiątkowa poświęcona ORP „Orzeł”. Bardzo ciekawym obiektem jest kościół św. Jana. Aby dokładnie obejrzeć umieszczone w nim wyposażenie nie wystarczy kilka godzin, a niestety nawet tyle czasu nie mamy. Dowiadujemy się, że Parlament Estonii jest 1-izbowy i liczy ledwie 101 posłów. Gdyby było tak u nas. Estonia jest państwem cyfrowym. Dosłownie wszystko można tutaj załatwić przez Internet. 98 % społeczeństwa ma dostęp do Internetu. Niesamowicie.



Foto: Krzysztof Tęcza

Tak naprawdę mnogość świątyń w Tallinie nas przytłacza. Oglądaliśmy cerkwie, kościoły katolickie i wszystko nam się miesza. Dla nas świątynia to świątynia. Jednak jedna robi na nas duże wrażenie. Znajduje się w niej wiele ciekawych acz nietypowych ozdób. To tutaj caryca ufundowała nagrobek dla swojego partnera, jak byśmy to dzisiaj określili.

My kierujemy się w stronę portu a później idziemy oglądać mury obronne. To tutaj widzimy trzy budynki wystawione przez bogatego kupca, który miał trzy córki. Wystawiając dla każdej z nich dom nakazał budowniczym zrobić tylko jedno wejście, tak by ewentualny kandydat do ręki którejś z córek musiał najpierw odwiedzić najstarszą. Pomysłowe, prawda? Nas, chyba tak jak wszystkich, zszokowała nieco para leżąca pod krzakiem. Wyglądało to tak jakby kochankowie nie zważali gdzie się znajdują. Jednak po podejściu nieco bliżej okazało się, że jest to tylko prowokacja artysty. Faktycznie para okazała się kukłami ułożonymi w takiej pozycji pod wielkim krzakiem rosnącym pod murami.

Ponieważ nie tylko zabytkami człowiek żyje odwiedziliśmy *Muzeum marcepana*, w którym można nabyć wyroby z marcepana w każdej postaci. Wszak nie od dzisiaj wiadomo, że marcepan uważany jest za lek na złamane serce. A ponieważ 23 % marcepana to migdały a reszta to cukier jest on niezwykle słodki. Możemy tutaj zarówno kupić upominki dla znajomych ale także skosztować tych pyszności na miejscu. Skoro jest okazja korzystamy z niej. Niech no tylko ktoś spróbuje nas wygonić.

Dalej podążamy ciekawą uliczką przy której znajduje się najmniejszy budynek w mieście. Został on częściowo wbudowany w kościół. Przy Placu Ratuszowym znajduje się najstarsza apteka w Europie. Założona w 1422 roku nigdy nie była zamknięta. Tak się składa, że akurat w dniu dzisiejszym odbywa się targ. Możemy zatem zobaczyć ofertę skierowaną do turystów ale także nabyć wiele ciekawych

rzeczy. Możemy napić się piwa, zakupić wyroby z ceramiki, wełny, lnu czy miodu. Możemy także skosztować czarnego chleba czy zjeść zupę z łosia. Najbardziej jednak przypadł nam do gustu balsam, który od wieków produkowany jest w Tallinie. Ponoć jego historia zaczęła się w momencie kiedy do miasta przybyła caryca. Kiedy zachorowała i żaden z lekarzy nie mógł jej pomóc wezwano na pomoc znanego aptekarza, który wymyślił balsam pomagający na różne dolegliwości. Oczywiście zastosował go, zarówno wewnętrznie jak i do masażu ciała schorowanej carycy. I o dziwo to pomogło. Caryca wyzdrowiała. W dowód wdzięczności przyznała mu przywilej wyłączności produkcji owego balsamu. Przez wieki ludzie korzystali z tego dobrodziejstwa, a my dzisiaj możemy także zabrać do domu butelkę tego specjału. Może kiedyś przyda się.



Foto: Krzysztof Tęcza

Najwyższa pora zobaczyć jak Tallin wygląda z góry. Udajemy się zatem pod wysoką na 60 metrów wieżę. Tam po 270 (liczyłem) stopniach wchodzimy na taras widokowy. Niestety schody są nieco wyższe niż normalnie i zanim dotarliśmy na górę nogi odmówiły nam posłuszeństwa. Dobrze, że co jakiś czas umieszczono ławeczki na których mogliśmy odpocząć. Za te wszystkie męczarnie czekała nas nagroda. Widoki były niesamowite. Warto było się pomęczyć. Chyba nikt tego nie żałował. Nawet ci, dla których był to wysiłek ponad życie. Ale chyba większym szokiem było dla nas dostrzeżenie zawieszanej przy jednej z bram prowadzących do posesji przy bocznej uliczce. Wisiał tam znak informujący o tym, że każdego kto spróbuje tutaj zrobić siusiu spotka coś złego. Wyraźnie pokazano co. Otóż może zostać mu odcięte narzędzie zbrodni. A więc nie sikajmy gdzie popadnie, może to być bardzo bolesne.

Aby poznać coś więcej niż tylko Tallin udaliśmy się jeszcze do miejscowości Piritä, w której zwiedziliśmy ruiny kościoła klasztoru św. Brygidy oraz Joellahtame gdzie odkryto cmentarzysko z epoki brązu. Oba obiekty wywarły na nas nieźle wrażenie. Ale nie przebiły wodospadów w Jagali. To dopiero było niesamowite. Samo dojście już nam pokazało, że idziemy do czegoś wyjątkowego, a do tego kolory spływającej wody. Gdy podeszliśmy pod sam wodospad mogliśmy zobaczyć jak wygląda świat zza wodnej kurtyny. Woda rozbijająca się o dno zamieniała się w mokrą mgłę, która ogarniając nas powodowała, że dosłownie w jednej chwili byliśmy mokrzy od stóp do głowy. Ale było to bardzo przyjemne. Największe jednak zaskoczenie było gdy na niebie pojawiła się prawdziwa

tęcza. Chociaż dla mnie akurat to nic nadzwyczajnego. Wszak spadające z góry i rozbijające się krople wody zawsze powodują powstanie tęczy. Poza tym ja także tam byłem.

Po tak ciekawym dniu nie warto było od razu kłaść się spać. Postanowiliśmy w kilka osób wybrać się nad morze. Wszak byliśmy nad Bałtykiem i mieliśmy go nie zobaczyć? Udaliliśmy się na spacer pieszo chociaż akurat w tę stronę jeździły jeszcze autobusy. Pora była dosyć późna. Gdy dotarliśmy nad wodę było już dobrze po północy. Dziwne nam się wydało, że mimo tak późnej pory wciąż jest widno tak jak za dnia. Okazało się jednak, że trafiliśmy na białe noce. To akurat ta pora i to miejsce. Ciesząc się z tego faktu wędrowaliśmy po plaży wraz z innymi turystami, którzy tak jak my przybyli podziwiać piękno spokojnej tafli morza. Było magicznie. A zachodzące słońce powodowało, że cały horyzont zrobił się najpierw różowy by przejść w kolor krwisto czerwony. Po takich przeżyciach pozostało nam tylko wracać do hotelu by odpocząć przed jutrzejszymi wycieczkami.



Foto: Krzysztof Tęcza

Rano ruszyliśmy do Parnawy – letniej stolicy Estonii. To tam znajduje się Czerwona Wieża, Brama Tallińska i kościół św. Katarzyny. Są to obiekty niejako obowiązkowe dla grup chcących poznać to miasto. My także chcieliśmy je zobaczyć. Jak się jednak okazało był to dopiero wstęp do tego co mieliśmy zobaczyć tego dnia.

W miejscowości Kieś znajduje się najlepiej zachowany na Łotwie zamek rycerski będący kiedyś siedzibą wielkich mistrzów oraz polskich starostów. Zamek ten ze względu na grubość jego murów uważany był za obiekt nie do zdobycia. No chyba, że załogę wzięto by głodem. Dzisiaj pozostaje w ruinie. Warto jednak przejść te wszystkie korytarze, kręcone schody, ukryte przejścia itp. W przyzaskowym ogrodnictwie jeszcze dzisiaj możemy zapoznać się z metodami uprawy roślin. Pokazują to specjalnie przeszkoleni opiekunowie tego miejsca.

Najpiękniejszą jednak częścią zamku, a właściwie zbudowanego obok pałacu jest znajdująca się na szczycie wieży biblioteka. Urzeka ona nie tylko swym wyglądem czy wyposażeniem ale także zbiorami. Kolejną atrakcją jest loch głodowy umieszczony w owej wieży. Możemy tutaj przekonać się co groziło nieposłusznym mieszkańcom. W Kieś działa najstarszy browar na Łotwie i chociaż zważywszy na rok jego założenia 1878 nie robi na nas specjalnego wrażenia, to trzeba przyznać, że piwo ma znakomite.

Kolejny obiekt to pozostałości zamku Zakonu Kawalerów Mieczowych w miejscowości Turaida położonej, a jakże na terenie Szwajcarii Łotewskiej. Jest to obiekt zbudowany z czerwonej cegły wywołujący niezłe wrażenie z racji swojej wielkości. Sama wieża zamkowa jest tak wysoka, że zanim się tam wdrapiemy dostaniemy zadyszki. Widok jaki rozpościera się z wieży zrekompensuje nam trudy wejścia na górę.



Foto: Krzysztof Tęcza

W pobliżu jest miejsce upamiętniające młodą dziewczynę zwaną Różą z Turaida. Została ona zamordowana i pochowana na terenie zamku. Jej historia jest jednak bardziej skomplikowana. Otóż po bitwie stoczonej u podnóża zamku Turaida w roku 1601, urzędnik zamkowy szukając ocalałych znalazł żywe dziecko oplecione ramionami nieżyjącej matki. Zabrał więc je do domu i przyjął jako swoje. Dał jej na imię Maija. Gdy dorosła była tak piękną kobietą, że wszyscy mówili o niej Róża z Turaidy. Jak to w życiu bywa zakochała się w ogrodniku zamkowym. Gdy przygotowania do ślubu szły pełną parą Róża otrzymała list od ukochanego Wiktora by przybyła na spotkanie w jaskini Gutmanis. Gdy tam dotarła okazało się, że zamiast ukochanego czekał na nią polski żołnierz Adam Jakubowski, który chciał ją zmusić by wyszła za niego. Róża nie chcąc tego powiedziała mu, że jest w posiadaniu specjalnego szala, który chroni od ciosów mieczem. Gdy ten nie uwierzył w jej słowa założyła szal na siebie i powiedziała by ten ciął ją by to sprawdzić. Gdy szlachcic wykonał jej polecenie ta padła martwa. Był to bowiem tylko fortel by nie dać się zhańbić. Róża wołała śmierć. Gdy wieczorem do groty przybył narzeczony znalazł zwłoki Róży. Pochował ją na wzgórzu przy zamku sadząc tam lipę. Mordercę zaś schwytano i ukarano przykładnie odbierając mu życie. Dzisiaj na grób Róży przychodzą nowożeńcy by złożyć kwiaty. Mają oni nadzieję, że wizyta w tym miejscu da im wieczną miłość.

Sama zaś jaskinia Gutmanisa jest najwyższą i najszerszą w krajach nadbałtyckich. Uważana jest ona za najstarszą atrakcję turystyczną na Łotwie. Na jej ścianach zachowało się wiele napisów i dat świadczących o bytności tutaj różnych ludzi. Z jaskinią tą zwiana jest jeszcze jedna legenda mówiąca o tym skąd biorą się wody wypływające wiosną na zewnątrz. Otóż są to łzy niewiernej żony dawnego władcy tych ziem, która zrozumiałwszy swój błąd tak rozpaczła, że jej łzy dały początek strumieniowi. Nic dziwnego, że okazało się, iż woda wypływająca z tego źródła ma właściwości lecznicze.

Po trudach dnia i spokojnym noclegu w Rydze udajemy się na zwiedzanie miasta wpisanego na listę UNESCO. Od razu rzuca nam się w oczy piękno budynków wzniesionych przy ulicy Alberta. Znajdują się tutaj secesyjne kamienice zaprojektowane przez Michaiła Eisensteina. Są to prawdziwe caczuszka. A wszystko zaczęło się od pomysłu by jakiś nieznany architekt zaprojektował coś innego, coś czego jeszcze nie było. Dzisiaj jest to jedna z najpiękniejszych ulic miasta. Chociaż nie zawsze ozdobą miasta muszą być zabytki architektury. Tutaj na przykład utworzono piękny park na miejscu ponad 100 metrowej szerokości fosy. Oczywiście po rozebraniu pobliskich fortyfikacji wzniesiono tam budynki. Jednak tyle zieleni sprawiło, że ich mieszkańcy czują się jakby mieszkali w parku.

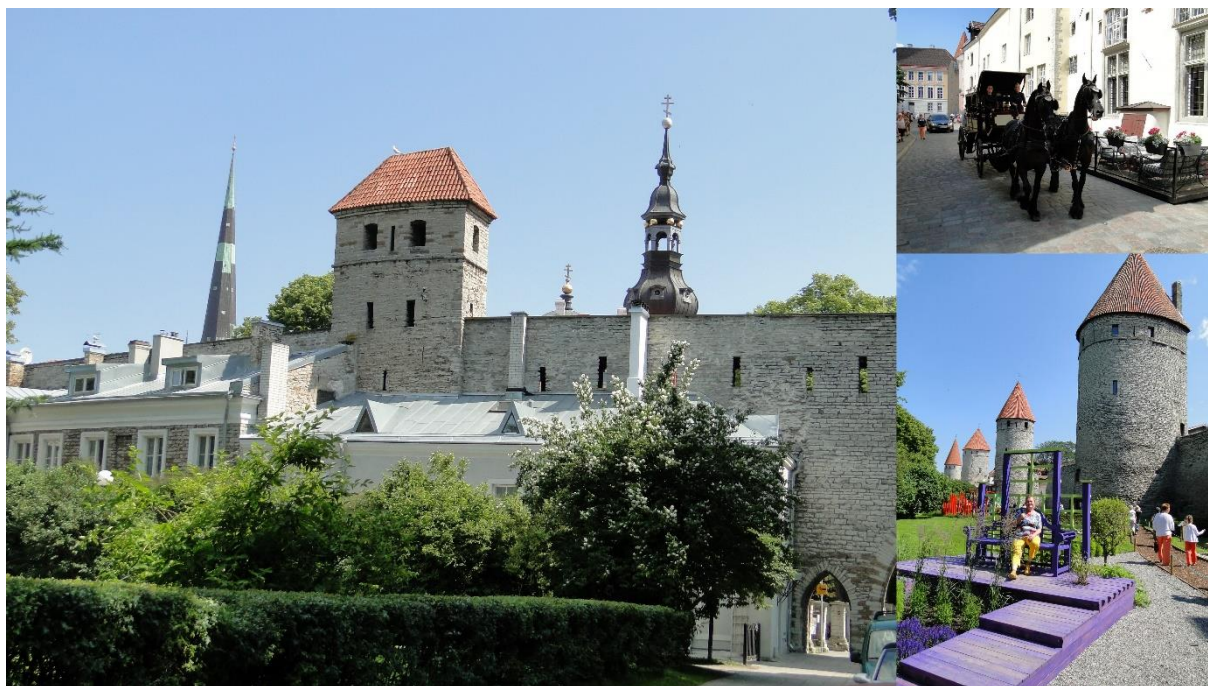


Foto: Krzysztof Tęcza

Wspaniałym obiektem jest *Dom Bractwa Czarnogłowych*. Był on siedzibą bogatych kupców pochodzenia niemieckiego, którzy ze względu na swoją pozycję mieli coś do powiedzenia w sprawach ważnych dla miasta. Aby należeć do tego bractwa trzeba było być stanu wolnego. Dlatego wszyscy byli kawalerami. Dawniej budynek ten był nazywany *Dworem Artusa*. Mówi się, że członkowie tego bractwa dla zabawy przyciągnęli z lasu zieloną choinkę i ustawili na placu, wcześniej zawieszając na jej gałązkach setki jabłek. Niektórzy uważają, że to była pierwsza w historii choinka świąteczna. Na placu przed budynkiem ustawiono pomnik przedstawiający Rolanda – niezwykłego rycerza, który jest także patronem konsumentów.

Ciekawe wydarzenie miało miejsce podczas pożaru wieży kościoła św. Piotra, która aby pokazać wyższość władzy kościelnej była wybudowana tak wysoko, że widać ją było z każdej strony. Kiedy Piotr I przebywający w porcie dostrzegł pożar szybko dotarł pod kościół i żarliwymi modłami spowodował, że wieża zawaliła się do wnętrza świątyni. Gdyby runęła na okoliczne budynki byłaby to straszna tragedia. A tak wyłożono odpowiednią sumę pieniędzy i wieżę odbudowano. Zresztą wieża ta była odbudowywana kilkakrotnie. Ostatnio po II wojnie światowej. Obecnie ma ona ponad 123 metry wysokości. W dawnych latach budowniczy aby udowodnić, że swoją pracę wykonał rzetelnie musiał po zakończeniu budowy wejść na wieżę i usiąść na umieszczonym na jej szpicie kogucie. Do tego musiał wypić szampana i rzucić pusty kielich w dół. Ten rozpadając się wróżył ile lat przetrwa budowla. Na szczęście budowniczy nie był głupi i do sprawdzianu zabrał kryształowy kielich. Ten spadając z takiej wysokości rozbił się na tak dużo kawałków, że osądzono iż świątynia przetrwa wieki.

W sąsiednim kościele św. Jana zachowały się tak wspaniałe sklepienia, że nie sposób oderwać od nich oczu. W celu ułatwienia turystom podziwiania tego caczuszka architektonicznego ustawiono na podłodze lustra, w których dzięki kątowni nachylenia dokładnie widać wszystkie szczegóły sklepienia.

Aby odetchnąć w trakcie całodniowego zwiedzania miasta można wybrać się do działającej obok świątyni restauracji serwującej bardzo dobre jedzenie. Jej znakiem rozpoznawczym jest ustawiona na ulicy rzeźba przedstawiająca osła, psa, kota i koguta stojącego jeden na drugim. W sąsiedniej uliczce znajduje się sklep, w którym można nabyć wspomniany już balsam, i to w różnych odmianach. Takiego wyboru nie znajdziemy nigdzie indziej.



Foto: Krzysztof Tęcza

Ciekawostką z dawnych czasów jest to jak radzono sobie z utrzymaniem fortyfikacji obronnych. Otóż aby nie nadwyręzać kasy miejskiej mury obronne dzielono na odpowiedniej długości odcinki (oczywiście tylko w teorii) i przekazywano pod opiekę konkretnej osobie – mężczyźnie. Ten musiał ponosić nakłady finansowe związane z jego utrzymaniem i naprawą. Musiał także, w razie zagrożenia, bronić owego kawałka muru. Ponieważ tereny w mieście były dosyć drogie nie każdy mógł sobie pozwolić na zakup działki budowlanej w centrum. Dlatego niektórzy kupowali grunty tuż przy murach. Były one najtańsze. Wiązało się to oczywiście z ryzykiem, że w razie jakiegokolwiek konfliktu zbrojnego postawione tu budowle ulegały zniszczeniu. Dlatego też wiele z tych budynków służyło handlowcom i rzemieślnikom. Były tu magazyny, warsztaty, a także ich mieszkania. Części użytkowe znajdowały się na parterze a mieszkalne na wyższych piętrach. Aby tanim kosztem powiększyć część mieszkalną wysuwano górne piętra do przodu. Nieraz dosyć znacznie. A ponieważ na ulice wysypywano śmieci jej poziom wciąż się podnosił. I dlatego wcześniej dobudowane piętra przestawały być legalnymi. Władza oczywiście miała na to swoje sposoby. Ustalona była bowiem urzędowa szerokość ulicy. Aby sprawdzić czy jest ona właściwa co jakiś czas przejeżdżał tędy rycerz na koniu trzymający na wysokości swoich piersi kopię o długości równej właściwej szerokości drogi. Gdy kopia zawadzała o coś zaraz rozbierano to co przeszkadzało i było po sprawie. Nie trzeba było angażować w to żadnych sądów. Każdy rozbudowując swój dom podejmował ryzyko i nikt nie zgłaszał pretensji gdy to wykryto.

Kolejnym ciekawym obiektem jest budynek wzniesiony na siedzibę *Wielkiej Gildii*. Właściwie to ciekawym jest pewna historia związana z historią stowarzyszenia kupców i jubilerów. Otóż jeden z kupców złożył podanie o przyjęcie go w poczet członków stowarzyszenia. Niestety ciągle mu odmawiano. Wiązało się to zapewne z faktem, że proszący był Łotyszem a członkami gildii byli przemysłowcy niemieccy. Dlatego ten gdy nadarzyła się okazja wykupił grunt po drugiej stronie ulicy i postawił tam swój budynek. Na jego dachu, a właściwie na szczytach wież, ustawił dwie figury czarnych kotów odwrócone tyłem do biur gildii. Koty miały uniesione ogony do góry co oznaczało „pocałuj mnie pod ogon”. Członkowie gildii czując się obrażonymi założyli sprawę sądową, która trwała kilkanaście lat. W końcu jednak wygrali proces, a koty nakazem sądu musiały odwrócić się przodem do sąsiadów.

Idąc dalej trafiliśmy na niewielki mostek tak oblepiony kłódkami, że zastanawialiśmy się czy aby wytrzyma on nasze obciążenie. Jest to typowy mostek zakochanych. Jak widać po ilości kłódek zakochanych w Rydze nie brakuje. Nieopodal w trawie stoi figura konika, która w przeciwieństwie do innych odlewów nigdy nie została skradziona. Nikt nie potrafi logicznie tego wyjaśnić.



Foto: Krzysztof Tęcza

Kolejnymi obiektami fortyfikacji miejskich są baszta prochowa i brama szwedzka. Pierwszy obiekt ma wbite wysoko w murze dwie kule armatnie. Ze względu na ich usytuowanie nie znalazł się nikt kto by je stamtąd wyciągnął. Drugi obiekt, może niezbyt ciekawy, posiada ciekawą legendę. Otóż kiedyś zakochana w pewnym Szwedzie mieszkanka Rygi wychodziła za mury miejskie by się z nim spotykać. Któregoś razu zeszło im trochę dłużej i niewiasty nie wpuszczono do miasta. Jak wiadomo w tamtych czasach brama była zamykana o określonej godzinie i trzeba było na jej otwarcie czekać aż do rana. Gdy na drugi dzień niewiasta weszła do miasta została aresztowana i skazana przez sąd na śmierć. Przywiązano ją do ustawionego przy bramie słupa i tam dokonała swojego żywota.

W Rydze jest tak wiele zabytków, że trudno podczas jednego pobytu obejrzeć wszystkie. Po którymś wszystkim zaczyna się mylić. Nie wiemy czy to co przed chwilą oglądaliśmy widzieliśmy w tym czy innym kościele. Dlatego lepiej ograniczyć ilość zwiedzanych obiektów, a bardziej skupić się na posmakowaniu życia miasta. Dlatego warto czasami zajrzeć do jakiegoś sklepu, zjeść obiad w restauracji serwującej miejscowe dania czy przyjrzeć się występom lokalnych artystów. Na pewno

ciekawszym będzie odszukanie trzech kogutów umieszczonych na dachach poszczególnych obiektów by sprawdzić skąd wzięła się nazwa *Plac Trzech Kogutów* niż oglądanie dziesiątej świątyni. Najlepiej usiąść na przedziwnym wehikule, w którym mieści się kilkanaście osób siedzących przy bufecie, popijających piwo i zwiedzających w ten sposób miasto. Jeśli przestaną pedałować pojazd stanie.



Foto: Krzysztof Tęcza

Sporym wyzwaniem zarówno dla prowadzącego nas przewodnika jak i dla kierowcy było dotarcie do miejsca, w którym wzniesiono pomnik upamiętniający zwycięską bitwę pod Kircholmem w roku 1605. To wtedy wojska polskie i litewskie pod dowództwem hetmana Jana Karola Chodkiewicza pokonały przeważające siły szwedzkie króla Karola IX.

Ostatniego dnia dotarliśmy do miejscowości Rundale (Łotwa), w której znajduje się pałac z I połowy XVIII wieku. Jest to budowla tak piękna, że przyłgnęło do niej określenie „Łotewski Wersal”.

Zbudowana jako letnia rezydencja dla Ernsta Johanna von Birona faktycznie zachwyca zarówno swą wielkością, jak i pięknem architektury. Znajdujący się tu ogród również niczym nie ustępuje znanym założeniom parkowym w Europie. Samo dojście do wejścia usytuowanego po drugiej stronie olbrzymiego dziedzińca nastraja nas do tego, że za chwilę zobaczymy coś wyjątkowego. I faktycznie pierwszym zaskoczeniem po wejściu do środka był nakaz założenia ochraniaczy na buty. Dawno już się nie spotkaliśmy z taką troską o stan parkietów. Jednak to co ujrzelśmy w poszczególnych komnatach przerosło nasze oczekiwania. Przepych z jakim urządzono poszczególne pomieszczenia jest po prostu nie do opisania. Główna sala tronowa tonie w złocie. Wszystkie ozdoby pokryto złoceniami. Oczywiście jest tutaj wiele pomieszczeń urządzonych w określonych kolorach, wedle życzenia ich użytkowników. Jest tutaj bardzo ciekawa biblioteka. A w wyposażeniu znajdują się dziesiątki przedmiotów zaskakujących swoją funkcjonalnością nawet dzisiaj. Nie będę tutaj opisywał poszczególnych elementów wystroju, to każdy musi zobaczyć sam. Powiem tylko, że znaleźliśmy w pałacu także akcent polski. Otóż w toaletach zamontowano ceramikę z firmy „Koło”.



Foto: Krzysztof Tęcza

Kiedy tutaj przybyliśmy okazało się, że właśnie trwa święto róż. Dlatego można było nie tylko obejrzeć róże kwitnące w ogrodzie ale także nabyć poszczególne ich odmiany na dziesiątkach stoisk oferujących piękne rośliny. Po zapewnieniu, że nabyte roślinki przeżyją dalszą podróż większość zakupiła upatrzone rośliny i mogliśmy przed wyjazdem jeszcze raz spojrzeć na dziedziniec zbudowany w kształcie słońca. Miało to przynieść powodzenie właścicielowi kompleksu pałacowo-parkowego. Nie wiem jak to było z tym właścicielem ale nam podróż powrotna upłynęła w spokoju i do domu wróciliśmy szczęśliwie.

Krzysztof Tęcza